№ 22.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1847. Poznań, dnia 1. Listopada.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Słyszeliśmy znowu kilkakrotnie rzucane pytanie, czyli wychowanie zagraniczne w niektórych przypadkach nie jest lepsze niż wychowanie krajowe. Pytanie to, powstaje bardzo naturalnie, a mianowicie z téj przyczyny, że w niektórych krajach wychowanie ma częstokroć cel przeciwny, jakby mieć powinno. Kiedy naród posiada własne wychowanie, wtedy niewątpliwie ono jest najlepsze, bo przecie musi być jako tako zastósowane do potrzeb miejscowych, zgodne z duchem ogółu, oparte na doświadczeniu przodków i ojców, ale gdzie się naród żywi wychowaniem pożyczaném, tam mu może być za jedno, czy wychowanie bliższe, czy dalsze od swego domu.

W wychowaniu nie po rodzinnych zasadach prowadzoném, skoro niemożna mieć innego, trzeba zważać, aby ono niepsuło w młodzieńcu człowieka, aby mu przodków cnoty i zalety nieprzekrzywiało na wady i błędy. Gdzie bowiem wychowanie wydziera moralność, tam lepszy człowiek bez wychowania od człowieka z wychowaniem. Pierwszy skoro tylko jest dobrego serca, prostego rozsądku, kieruje się przywykłościami od ojca i matki przyjętemi, które są po większéj części rezultatem zasad moralnych w ludzkości i narodzie przez wielu wyrabianych. Inaczéj dzieje się z drugim, który przy wychowaniu nasiąkł jadem zepsucia. Mieć więcéj usposobienia, zdolności, wprawy do złego, jest to być gorszym człowiekiem.

Wychowanie atoli choć nierodzinne, jeżeli ma na celu moralność, zawsze jest zbawienne. To obce które jest w kraju, zawsze lepsze od obcego za granicą. Nierozstrzygnęli jeszcze pedagogowie pytania, gdzie młodzieniec więcéj się uczy, a przynajmniéj wyrabia na człowieka, czy w szkole, czyli w swym domu, obok szkoły. W szkole podobno, nabywają się tylko sposoby do myślenia, a myśli najwięcéj się zbiera w domowém pożyciu.

Ludzie bogatsi i ci, co się lubią poczytywać za znakomitszych, kładą zawsze większą wagę na wychowanie odleglejsze od domu. Błędna to podobno zasada: rodzice powinni się naprzód starać o to, żeby ich dziecko było takie, jakiemi są drugie, a dopiero myśleć nad tém, żeby celowało pomiędzy drugiemi. Wychowanie, które utwarza całkiem innego człowieka, może snadno utworzyć śmieszny oryginał.

Są niektórzy rodzice, co widząc, że ich dzieci okazują się upośledzonemi, wywożą je daleko za granicę, aby zakryć pomiędzy swemi ich nieudolność. To jest błędem okropnym. Młodzieniec większych zdolności wszędzie się przebije swoim duchem i dla tego na niego obce zasady mało wpłyną, lecz młodzieniec słabego umysłu, toczy się tylko po téj drodze, która mu od drugich zostanie wytknięta. Radzimy przeto w podobnych przypadkach mieć na uwadze to zdanie, że głupiec swego chowu niebije nigdy tak w oczy, jak głupiec z przymiotami cudzoziemca, który każdą uwagą obudzać musi ckliwość pomiędzy tymi, co mu są najbliższemi, a przecież w niczém niepodobni.

Czarny krzyż.

POWIEŚĆ.

Wiele słyszałem o prześlicznem położeniu i malowniczych widokach okolic Krakowskich; lecz od samego dzieciństwa nie widziałem ich wcale. Dawno marzyłem o chwili, w któréj będę mógł ujrzeć rodzinne pola, równiny, wzgórza; napaść oczy tym tłumem różnorodnych obrazów, nasycić się, pochłonąć je, aby na zawsze zostały w pamięci. Dziecinne lata spędziłem nad Nidą, dla tego pragnąłbym ujrzeć raz jeszcze te modre fale, które pluskały na głowę dziecięcia; tę cienistą olszynkę, gdzie nieraz biegałem ochoczo; ten dworek, w którym pierwszy raz ujrzałem światło dzienne! bo to miło śród burz życia odpocząć tam na chwilę, gdzie się bawiło w kołysce! ujrzeć krainę niewinnych wspomnień, pamiątek w młodości.

Pojechałem.

Cudownato pora; pierwsze dni czerwca pozieliniły pola, łąki i gaje — wszędy wesoło, rzeźwo, ochoczo. Trzeba być zimnym egoistą, samolubem, aby nie czuć piękności natury. Bo też tam i jest co podziwiać! wystawcie sobie zieleniuchną, kwiecistą równinę, woń czysta kwiatów wiosennych rozchodzi się do koła, a środkiem płynie zwolna rzeczka cicha, spokojna, jasne promienie słońca odbijają się na jéj kryształowéj powierzchni — jak święte prawdy religii w duszy chrześcianina wyznawcy, przejrzysto, świetnie, lśniąco! Niekiedy urwisko skały, zawieszone nad rzeką, rozbija o siebie jéj pluskające fale, pokrywając się białą, śnieżystą pianą — to niby siwy starzec pochylony nad tonią wieczności, jakby ją chciał uściskać w spragnionem objęciu.

Daléj kilka wysmukłych jodeł, cienistych olszyc lub gaik brzóz płaczących, a za niemi zielone pole, niby druga woda obszerniejsza, piętrząca się falą za każdym wiatru powiewem. Potém wzgórza, daléj równiny zbożem pokryte, znów wyniosłości, skały, wąwozy z wiszącemi nad niémi krzaki jałowcu; daléj jeszcze źródła i strumienie, płynące z pod granitowych odłamów. Zdaje się, iż ręka natury umyślnie porzucała to wszystko, aby okazać, jak piękną jest nawet w dzikim nieładzie swych tworów.

A co najwięcéj temu obrazowi nadaje życia, to chłopek Krakowski z piosnką na ustach, czapką na uchu i całą gęstą miną. Nie darmoto nasza młodzież po Krakowsku przebierać się lubi, bo też śliczny ubiór Krakowiaków; a jeśli bladym, wywiędłym paniczom do twarzy kierezya, pas i podkówki Krakowskiego chłopka, to czyliż nie stokroć piękniéj w rodzinném odzieniu wychowańcom tamtéj strony!

Albo, co zarzucić hożéj Krakowiance? Prosta, skromna, wesoła wieśniaczka, ozdobiona polnemi kwiaty, śmiejąca się wdziękiem niewinnéj prostoty i młodości. Nie ma tam zimnych, wymuszonych prawideł i obłudy; lud ten, wychowany w dworku i chacie, ostatni dochował szczerość i prostotę naddziadów.

Kiedy dziewczyna pokocha wybranego przez siebie młodzieńca, nie wstydzi się tego okazać przed światem, owszém chlubi się swojém szczęściem, pewna, iż nie wzbudzi zawiści. Wtenczasto prawdziwe szczęście młodéj pary. Trzeba widzieć, gdy przyjdzie niedziela, jak oni razem idą do kościoła, razem się modlą, potém razem śpiewają i pląsają ochoczo. Wtedy w niewinném upojeniu, pewnieby wzgardzili złotem Potozu, gdyby za cenę bogactw miano ich rozłączyć.

Już tylko kilka mil zostało do mojéj rodzinnéj wioski, lecz słońce chyliło się ku zachodowi, trzeba było zanocować.

Byłato sobota.

Kiedy ostatnim błyskiem zachodu żegnała świat pyszna dnia gwiazda, ujrzałem gromadę dziewcząt, parobków, kobiet i starców, jak z wesołemi śpiewkami i głośnym śmiechem szli do dworu po tygodniową wypłatę. Przed dworem chłopczyk śiedmioletni hasał wesoło na lasce, niby na koniu, i wywijał drewnianą szabelką; wspomniałem mglistą pamięcią dni mego dzieciństwa i oczy mimowolnie zaćmiły się łzami.

Nazajutrz byłem w kościele. Liczne tłumy zaległy świątynię Pańską i wszyscy na kolanach, w korněj postawie, ciche szeptali modlitwy. Przebudzony tak niewymownym przykładem, rzuciłem się również na kolana, i śród tych prostych, szczerych modłów zdawało mi się, że i moja myśl prędzéj stanie przed tronem Najwyższego.

Po nabożeństwie, ta milcząca skupiona masa, ożywiła się nagle. Głośna i równie jak ciche modły, szczera ochota wypogodziła milczące oblicza wieśniaków, którzy teraz w wesołych pląsach po tygodniowéj pracy szukali wytchnienia. Wzdrygnąłby się modniś wychuchany, zfrancuziały, na odgłos radosnych okrzyków Krakowskiego chłopka, na brzęk jego podkówek i kółek u pasa; zaszklane, przymknięte oko nie zniosłoby szybkich ruchów hożego tańca, tego oddźwięku wesołości i wewnętrznego spokoju; lecz kto ma duszę i serce, tego rozrzewni prosta melodya krakowskiéj śpiewki, ochocze, zwinne pląsy

rodzinnego tańca. Tamto wykazuje się na jaw, odbija się na tle szczeréj wesołości czysta dusza, nieskażona myśl i szczęście Krakowskich wieśniaków.

Niepodobna bez wzruszenia poglądać na to raźne grono — jakaś tkliwa roskosz poi serce, duszę, całą istotę.

Po chwili wybiegłem — był zmrok.

Chcąc puścić wolny bieg myślom, szedłem nad brzegiem rzeki — byłato moja rodzinna Nida. Patrzałem z roskoszą na jéj zmarszczoną powierzchnię, bo wiedziałem, że kropelki pluskające przed memi oczyma, niedawno płukały stopy téj wioski, gdzie mnie pierwszy raz świat człowiekiem powitał.

Zatopiony w myślach, oddaliłem się znacznie. W tém przybiega za mną kilku parobków ze wsi i żegnając się mówią:

— A gdzieżeś téż jegomość zaszedł? wszakci tu licho siaduje!...

Zdziwiony, spojrzałem koło siebie: przedemną wznosiło się nie wielkie wzgórze, a na niém przy bladém świetle zorzy, dojrzałem czarny, mchem zarosły krzyż. Rzeka w tém miejscu nieco zagięta, otaczała pagórek prawie ze trzech stron.

Pewnie jaka stara pamiątka, pomyślałem i chciałem iść daléj.

— A niechże Matka Najświętsza broni, — zawołali chórem, — o zmierzchu nie każdy tu pójdzie.

— A to czemu?

— Och! Panie święty — rzekł jeden;*— tylko że to człowiek nie chce wspominać podczas ciemnéj nocy, co się tu dzieje pod krzyżem.

— Jakto, pod krzyżem? — pytałem zdziwiony.

— Eh, tu nie tylko krzyż, ale i ksiądz ze świętościami nie pomógł: święcił, kropił, a licho swoje broi. Tylko niech już się jegomość wróci, boby nas jego szkoda bardzo zmartwiła.

Nie chciałem zasmucać dzielnych chłopaków, mimowolnie czcią przejęty nawet dla ich uprzedzeń i przesądów rodzinnych; bom się nie lękał upiorów i strachów; lecz czyż godziło się niszczyć ich urojenia i wiary, gdy im tak dobrze z tą wiarą?

Ciekawy przecież, pytałem ich o przyczynę, historyę tego miejsca, lecz żaden nie mógł mnie zaspokoić. Mówili tylko, iż w nocy zawsze szatan wyprawia tam harce, słychać jęki, płacze, wrzaski i śmiechy, a nie widać nikogo.

— Niktże z was nie zna dziejów tego miejsca? — pytałem.

Już bo to Jegomości żaden tak dobrze nie powie; ale jest tu bardzo światły człowiek, stary organista, on wie wszystko.

— Więc prowadźcie mnie do organisty, — rzekłem i wyszliśmy daléj.

Powoli wypogodziły się oblicza moich towarzyszów, a w końcu huczną pieśnią odpowiedzieli na okrzyki wieśniaków.

— Nicże się nie stało dobremu panisku? — pytali ciekawie jeden drugiego.

— Niech będzie Najświętszéj Pannie dzięka! — mówił uchylając czerwonéj czapki rumiany staruszek.

— Znać — rzekł inny — żeś pan nie tutejszy rodzic, kiedy nie wiadomo panu o czarnym krzyżu.

— *Laudetur Jesus Christus!* — powitał mnie jakiś siwy, pochylony staruszek.

— *In saecula saeculorum!*

— Podobnoś Waszmość, łaskawy Dobrodzieju, ciekawy historyi o czarnym krzyżu? dobrze, żeś się udał do mnie, bo téżto ja wiem najlepiéj. Siłaćto człowiek pamięta, już wiek ubielił włosy, a wiek nie lada; 70ty roczek, Dobrodzieju. Dawniéj żyło się inaczéj, poduczył się człowiek i krzyżowéj sztuki *et latinam*, Dobrodzieju; dziś jestem organistą ku Bożéj chwale i pożytkowi tych poczciwych ludzi.

Byłto krzepki, choć nieco pochylony, rumiany a siwy jak gołąb staruszek. Nie spostrzegłem w nim tego typu śmieszności wiejskiéj wyroczni, jaką nam zwykle malują; lecz byłto sobie poczciwy, dobroduszny starzec, patryarcha rodzin, sędzia zwaśnionych i starosta każdego wesela swéj wioski.

Prosiłem go coprędzéj o powieść obiecaną, spodziewając się usłyszeć jaką ciekawą legendę; a że wieczór był ciepły i pogodny, zostaliśmy na wolném powietrzu. Zorze zachodu gasły powoli, na pociemniałem sklepieniu potoczył się księżyc i bladym promieniem oświecił bladsze jeszcze włosy starca, który na darniowem siedzeniu z tęskną zadumą odmawiał pamiątki ubiegłéj przeszłości. Był to piękny obraz — z wolna oblicze jego ożywiło się i zaczął mówić:

I.

„Na miejscu gdzie ten czarny krzyż stoi, przed laty wznosił się zamek. Kiedym był jeszcze pacholęciem, dziwne rzeczy prawiono o starém zamczysku; — niedługo pozostały tylko gruzy, kilka baszt i postrach na całą okolicę, a w końcu i to zwalono, dziś małe ledwie widać ślady na wzgórzu.

„Podtenczas, niedaleko od starych ruder, mieszkali dwaj bracia, Paweł i Jan. Ojcowie dawno im pomarli, oni żyli tylko sami ze starym krewniakiem na ojczystéj zagrodzie, a żyli rządnie, oszczędnie, uczciwie, kochali się i Pan Bóg im szczęścił. Jednak

starszy Piotr miał wiele skłonności do próżniaczki, był charakteru nieco twardego, dzikiego, nie kommunikował się z nikim, zawsze mu ponuro patrzało z oczu. Za to młodszy, duszą i ciałem poczciwy chłopiec, z każdym żył po przyjacielsku, w zgodzie; lubili go wszyscy. Stary ich krewniak, Jędrzéj Kosterniak już nie raz poganom zajrzał w oczy, nie raz nakiereszował twardą głowiznę pana brata, i nie jedną w zamian odebrał szramę — byłto dzielny, wąsaty wiarus, coby się nie uląkł samego szatana. Pracował on w polu razem z dwoma braćmi, żył z nimi i był szczęśliwy.

„Wszystkoto była szlachta karmazynowa z dziada pradziada, ale że Bóg dał fortunę niezbytnią, przeto żyli szczupło, ubogo, ale chędogo, jak Pan Bóg przykazał. Byli dobrzy i spokojni sąsiedzi, nie wszczynali nigdy kłótni; ale już to zwyczajnie, jak każdy szlachcic zagrodowy, kiedy wąs przyzwoity, nie da sobie zajść w drogę, tak też i oni. Tylko, że w okolicy znano ich jako tęgich zuchów, przeto nie każdy chciał im zajrzeć w oczy lub stanąć do krzyżowéj sztuki. Tak tedy żyli spokojni, a lata mijały.

„Gdy wyszli na dobrych podrostków, bo starszy miał lat 25, a młodszy 24, ciasno im się zdawało na rodzinnéj zagrodzie, osobliwie Pawłowi, który tak chciwie pragnął świata. Zgodzili się przeto, aby się rozdzielić. Próżno stary Jędrzéj odradzał, gniewał się i fukał: Paweł dobrze opatrzywszy się, ruszył w świat. Jan został w domu. Jużto kiedy człowiek ucieka od pracy, licha z niego pociecha; wiedział Jędrzéj o tém, dla tego też nie wróżył Pawłowi nic dobrego w świecie.

„Po odjeździe brata, Jan trochę zesmutniał, jednak z równą pilnością uprawiał oba działy, zbierał z każdego osobno i czekał na Pawła. — Paweł nie wracał.“

— Pewnie go tam świat nic dobrego nie nauczy — mawiał stary — a bieda rychło do domu przypędzi.

„Pawła przecież nie było widać — tak przeszło lat cztery.

„Nudno jakoś było Janowi bez brata, czas powoli wlókł się z dnia do dnia. Jan chodził, dumał, biadował się, nareszcie postanowił się ożenić, a miał lat dwadzieścia ośm.

„Była tu w pobliżu hoża dziewka, córka Rotmistrza, ośmnastoletnia Jadwiga. Panie odpuść! niby cudo jakie. Matki już niemiała i żyła tylko z ciotką i ojcem samotnie. Nie dziwota, że Jan rozmiłował na zabój. Rotmistrz, była to nieco dumna sztuka, jak wszyscy dorobkiewicze, do których podobno i on należał. Bo w ów czas, kiedy u nas tylko zaburzenia i rosterki panowały, nietrudno było człowiekowi obrotnemu zebrać majątek; ja tam tego niesądzę, bo przecież i pan rotmistrz na boskim sądzie; dość, że kupił tutaj parę włości i chciał właśnie uczynić pomiar swego mienia. Jużto panie odpuść, te pomiary nigdy nie wyszły na dobre. Miał też Rotmistrz, prócz sług, których było dosyć jednego towarzysza chorągwi do pomocy przy gospodarstwie i kielichu, lecz obaj jako ludzie rei militaris, niemogli sobie dać rady z tym pomiarem. Jan przecież był lat kilka w kollegium w Pinczowie, poznał trochę nauki i podjął się pomagać rotmistrzowi. Takim sposobem, Jan zaczął często bywać w dworku starego wojaka, a modre oczy panny Jadwigi coraz to miléj poglądały na dorodnego zagrodowca. Ojciec przyjmował go uczciwie, bo wiedział, że człowiek prawy i szlachcic herbowy, ale niespodziewał się nigdy, aby Jan mógł podnieść oczy tak wysoko i był sobie bezpieczny. Ponieważ Jan był teraz niemal ciągłym rezydentem w dworku rotmistrza, musiałby przeto mieć kamienne serce, żeby niestracić głowy i serca. A że on miał duszę skłonną i prawą jak każdy Krakowianin, i przytém wcale ukrywać się nieumiał, przeto pomału zakradł się i do serduszka niewinnego dzieweczęcia.

„Bywało siądą na ławeczce w ogrodzie, nuż gruchać jak gołąbki, pleść dwa po dwa, trzy po trzy, bez ładu i składu — ale im to było miło, bo się kochali. Lecz, że oboje byli skromni i bogobojni, nie śmieli tego sobie powiedzieć, jednak rozumieli się dobrze, a co gorsza, ojciec niewiedział o niczém.

„Tymczasem dzień za dniem schodził, gospodarka pana Jana podupadła, zasiewy wygniły, resztę sąsiedzi spaśli, dobytek już na księżą oborę patrzał; przecież Jan nieuważał na to; bah! i jakże mógł uważać, kiedy u niego tylko modre oczy panny Jadwigi na myśli, jéj słodkie słówka w pamięci. Rotmistrz niedomyślając się niczego, polubił Jana i chętnie go widział w swym domu.

„Jużto ja radziłbym panom ojcom, którzy mają panny córki, aby pilnie uważali i rozważali każdego, kogo mają w domu, iżby późniéj nie żałowali po niewczasie!

„Jan jednak posmutniał, osowiał, jużto, Panie odpuść! i do kościoła nie zawsze chodził; widocznie tkwiło w głowie przeczucie — a przeczucie rzadko zwodzi. Kiedy który z sąsiadów chciał pogawędzić, pocieszyć, rozweselić strapionego, to wszystko próżno. Dawniéj Jan taki rozmowny, wesoły, a teraz gdzie tam! Powiedział: tak, lub nie, lub milczał

wcale, a uśmiechał się. Widocznie gryzły go jakieś myśli — przeklęte kochanie! Kiedy zaś był u swéj Jadwisi, zapomniał o wszystkiém, ją tylko widział, o niéj myślał; — ba, on i niemyślał, nie widział, bo on ją kochał samym sobą — całą istotą! Ale ja powiem co myślę: ot, że takie kochanie licha warto; dobrze, że się człowiekowi spodoba niewiasta i chciałby ją pojąć, bo jużto taki tryb rzeczy i przeznaczenie; przecież żeby szaleć, nie jeść, więdnąć, męczyć się i wzdychać, eh! to panie odpuść, tylko jaki opętaniec może czynić. Już bo po co to wszystko? chcesz? dobrze, nie chcesz? trudna rada; tylko, że nasz Janek zawsze był sam, w wolnych chwilach siedział nad księgami gdyby rabin, nic dziwnego, żeby sobie dziwy w głowie uroił; gdyby żył nieboszczyk ojciec, pewnieby tego niebyło. Tylko ta samotność i duma nic dobrego nie wywróżą — a i z Pawła nic lepszego nie było. Szczęście, że Jan miał duszę poczciwą, to tylko choć sam był nieszczęśliwy, ale miał sumienie czyste, a tamten, Panie odpuść!... o tém potém.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nieco o jarmarku Berdyczowskim.

„Jarmarki w prowincyach są najprawdziwszemi obrazkami w miniaturze tego wszystkiego co zawierają w sobie okolice. Naturalnie, iż Berdyczów główną pod tym względem gra rolę. Kto chce poznać obroty handlowe, kto chce widzieć jakie mamy konie i woły, jakie kupujemy powozy, jak drogo opłacamy Schafnagla, jak obiadujemy u Bellot'a, kto chce widzieć nadewszystko nas samych z pejczami w ręku, w baragolskich paskach, wołyńskich burnusach i modnych paltotach, grających i pijących, wesołych i smutnych, chorowitych i zdrowych, z włosami à la artiste i à la brosse, z wąsami i bez wąsów, z brodami i bez bród; kto chce także powziąść wyobrażenie o naszych brunetkach i blondynkach, których tyle i tak pięknych posiada kraina, a których dziś tyle i tak awantażownie wybielił burakowy cukier, — kto chce mówię poznać, obaczyć to wszystko, temu radzimy, zamiast podróżowania po jednostajnych polach i wioskach, wprost zjechać na jarmark do Berdyczowa.

Na ten raz chcę być waszym *cicerone.* Proszę wziąść cygaro do ust, pejcz do ręki, czapkę baragołkę na głowę, bo kapelusz tu zbytni, pasek czerkieski żeby błyszczał z pod eleganckiego tużurka, chusteczka na szyi lub bez niéj, kamizelki wcale nie trzeba, szarawary bez strzemionek szerokie — tak — dobrze, teraz Pan jesteś czystéj rasy jarmarkowicz, a więc proszę za mną. Oto wprost przed nami jaśnieje w całym swoim blasku Machnowiecka ulica, główna arterya, Newski prospekt, Palais-Royal naszego Berdyczowa. Oto gościnny Bellot, oto Herbst, oto Ryfka, oto Moszko, Lübbe, Szafnagiel, tytunie, wina, srebra, materye — masz tu wszystko. Chcesz Pan drobnych rzeczy za grube pieniądze? — proszę nie omijać Schafnagla; chcesz poznać gust i elegancyę Warszawskich wyrobów? — Oto Herbst pokazuje nam ją jakby w kalejdoskopie; chcesz poznać co to za jedna Pani Ryfka? o! jest to niewysłowiona osoba! Gdyby mój kochany panie patrzało na cię choć raz jeden w życiu tyle pięknych ócz i te oczy tak czule, tak namiętnie rozkoszowały się tobą, jak patrzą i nasycają się codziennie w sklepie Ryfki — o! mój kochany Panie! byłbyś szczęśliwszy niż najwierniejszy w raju Mahometa! Co tam materyi, aksamitów, atłasów! jakie desenie! kolory! jaki gust, gatunek! jakie szale, jakie mantyle! aj! aj! aj!....

Może się nikt nie zastanowił nad tém, iż magazyn Ryfki jest to zaród i koniec wszystkich nieporozumień w sąsiedztwach, małżeństwach, familiach; źródło intryg, zawiści, knowań i jedyny kompromisarski środek; paszcza pożerająca niemniéj ogromne summy jak sukcessya familii Rennenpont'ów — i to wszystko tak niewidocznie, pod tak ułudną maską, iż my wszyscy cierpiący gorączki, dostający pragnienia, wpadający w kieszeniowe suchoty, — ani się domyślamy prawie skąd ich zrzódło.

Przed magazynem Ryfki, zawsze podczas jarmarku zastać można kilka eleganckich powozów — w magazynie grono dam, przepatrujących sztuk materyi, które im tak zgrabnie umieją prezentować żydki, kommisanci Ryfki — jest to kwiat kommisantów Berdyczowskich, korona głębokiéj psychologicznéj znajomości ludzi. Nie są oni bynajmniéj podobni do tych kommisantów których spotykamy w magazynach miast wielkich, gdzie li grzeczność i usłużność ma się na względzie, a stała cena towaru już sama przez się stanowi bilans handlu. Tu cen stałych nie masz, a ceny prawdziwéj niepowiedzą. Skoro wchodzi kupujący, żydzi go spotykają, przeprowadzają — obrzucają przenikliwym wzrokiem od stóp do głowy — wzrokiem porozumiewają się z sobą, a pytając czego żąda, już odgadują to sami, już wiedzą z kim i jak mają pro—

wadzić targi. Z kilku słów które zręcznie wyłowić umieją, poznają charakter osoby, miarę jéj znajomości na towarach, jéj słabą stronę, zarozumienie lub nieśmiałość, znajomość albo niewiadomość. Godna uwagi jest, iż znawca nabędzie zawsze taniéj od nieznawcy, chociażby ten ostatni prowadził targ najzaciętszy. W handlowym kodexie swoim mają na to szczególniejszą racyę. Znawca, powiadają, nie kupi drożéj, bo wie prawdziwą cenę, więc chociażby zysk był nieznaczący, przedać mu należy; nieznający się zaś zapłacić powinien drożéj, bo się nie zna, i *właśnie za to że się niezna.* Przedać mu za stósowną cenę *nie godzi się,* mówią *u nas,* chociażby przyszło wypuścić go ze sklepu, bo jeśli nie kupi tu, więc kupi gdzie indziéj za podobnie wysoką cenę, a tanio nigdzie mu nie sprzedadzą. Piękne nasze panie ani się postrzegają jak oszukanemi zostają. Żydzi rozwijając przed ich oczami mnóstwo sztuk materyi, każdę chwaląc, każdę prezentując w różnych sposobach a prezentując jak najzgrabniéj, tym, w gruncie głęboko wyrachowanym środkiem, obałamucają w końcu do takiego stopnia zmysły, iż się traci różnica między złém a dobrém, taniém a drogiém, gustowném a brzydkiém, i kończy się tém, iż albo się robi myłka w kupnie, lub się nabywa i płaci wedle żądania żyda. Nadto, mają oni głęboko wyrachowany sposób bałamucenia zmysłów, a ten jest, iż nigdy nie będzie milczał i nigdy nie pokaże od razu to czego potrzebują, lecz rozłoży pierwéj sztuk kilkanaście, zachwalając najbezczelniéj każdę. Powiedzieć przy tém samolubnéj że to jéj do twarzy, zarozumiałemu że się zna na tém, skąpemu że kto grosza nie szanuje sam go niewart, rozrzutnemu że tylko jemu pokazuje ten towar, że tylko dla niego go chował a *reszte państwo* nie kukupią, bo *reszte państwo* nie takie wielkie panowie i t. d. i t. d. pytam proszę: kogo takim sposobem wplątać w swoje sidła nie można? o, żydzi, to naród znający głęboko naturę człowieka i celujący jak może żaden w praktycznych sposobach korzystania z jego ułomności! A faktor, a miszures, a arędarze nasi po wioskach, a kupcy nasi na zboże i wódkę? co to za charaktery! co to za doskonałość w przebiegłości, w korzystaniu z czego tylko korzystać można! Niektórzy pisarze nasi już dotknęli w swych dziełach téj klasy, ale jeszcze wiele typów nadzwyczaj zajmujących nie wzięto pod pióro.

Idźmy daléj. Oto targ powozów. Karety, kocze, kabryolety, drążki, bryki, a nadewszystko nejtyczanki. Nejtyczanek namnożyło się tyle, przeistoczono je tak bardzo, iż ledwie ślad pozostał na nich z dawnéj, prawdziwéj nejtyczanki. Baragoli nasi dali im kurs powszechny. Dziś nie masz u nas domu gdzieby niebyło neityczanki. Baragołę czystéj krwi i nejtyczankę z Nejtyczan, w Berdyczowie najpewniéj widzieć można. Nie myślcie żeby to był obrazek bez interesu: wart on ołówka Orłowskiego. Konie w nejtyczance mają być odmastki, mierzyny, mocne dziarskie, patentowane bieguny, ubiegające po 80 i sto wiorst bez popasu. Woźnica w krakowskim ubiorze, z długimi włosami i czapeczką na bakier; pies i dubeltówka w powozie. Kozak, prawdziwy Ukrainiec — z miną gęstą — pewną siebie, z czupryną zakręconą za ucho — z osełedcem na czapce — szerokich hajdawerach — szerokim pasie i kozackiéj kurtce. Przebiegły, przytomny, zwinny, silny, zdrów i młody — wierny typ dawnych dworskich kozaków. Milczący i nieubłagany wykonawca skinień swego pana. Osadzić rozhukane konie — odpowiedzieć dowcipnie z kozacka — te zalety winien posiadać doskonale. Woźnica ma bicz w ręku z długiém biczyskiem lecz krótkim batogiem, naszelniki muszą być łańcuszkowe, szleje rzemienne, proste, kilka dzwonków i tyleż bałabanów, — broń Boże coś nie tak — już to nie baragoła. Nadto musi znać doskonale sposób jazdy baragolskiéj i termina używane do koni. Ahij! hijho! hi ha hot! są to wykrzykniki trudniejsze do wymówienia jak wszystkie wyrazy dla nas w słowniku Chińskim. Woźnica z téj jednéj zalety już jest poszukiwanym bardzo. Konie powinien zażywać lejcami i słowem: bicza używać rzadko i ten nie ma być w ręku lecz z prawéj strony kozła wkłada się do pochewki umyślnie na ten cel przyrządzonéj i tak trzmi pod ręką. W razie potrzeby chwyta się szybko i rzęsiste cięcia spadają po kolei i w oka mgnieniu kończy się exekucya. Konie już tak są przyzwyczajone do tych expromptów, iż jedno przeciągnięcie ręki do bicza, unosi nejtyczankę jak pióro. Proszę teraz widzieć samego baragołę. Włosy, brody — jak zechcecie: noszą dziś różnie. Na nim musi być burnus orzechowy z zagranicznego, grubego, kapucyńskiego sukna, obszyty kolorowymi sznurkami, tużurek kusy — modny, czerkieski pasek nabijany srebrnymi guziczkami, szerokie szarawary na *oczkurze* (pasku), pejcz albo krótka kozacka fajka w ręku — i otóż baragoła. Zupełnie prawdziwy Baragoła, jest tu interesującym dla dam — przedmiotem zazdrości młodzieży — pożądaną rybką miszuresów. Nie myślcie iż zasłużyć na imie czystorasowego baragoły jestto tak łatwo! Panicz co się zdobył na to wszystko per excellentiam, już tém

samém daje nam do zrozumienia, iż musiał odbyć prób i frycówek co nie miara, że musi żyć w towarzystwie podobnych, sypie tysiące, gra w djabełka i sztosa, szumi po jarmarkach, płata figle, męczy i opłaca miszuresów. Ztąd też zdarza się widzieć często pod koniec jarmarku, iż taż sama kompletna nejtyczanka przejeżdża po targowicy końskiéj, a w niéj, obok kozaka, zamiast pana, siedzi żydek miszures; możesz więc, spotkawszy ją, zapytać śmiało: Co za to wszystko, *tak jak stoi?* Oczewista, iż panicz nie miał w sztosiku szansy.

Ale oto targ koni, handel końmi, jest to jedno wielkie, zbiorowe oszukaństwo. Ledwie setny przedaje niezepsute cugi: wszystkie inne są to podleczone, zatajone kaleki, sprowadzone i odkarmione dla wywabienia od nieznających się pieniędzy. Ztąd też jak domyślicie się, żydzi są tu celujący. Zajmująca to rzecz widzieć, gdy liwerant prezentuje konia. Jeden z nim wypada ze stajni, drugi pędzi tuż za nim świszcząc batogiem; rozpędzają — zwracają — osadzają — krzyczą, — zabiegają wprzód, na tył, z boków. Koń wykarmiony, wyczyszczony, wymuskany, znalazłszy się raptem z ciemnéj stajni na słońcu, słysząc nad uchem znajomy mu poświst bicza, gwar, hałas, — leci, płoszy się, parska, jeży, spina — sam niewie gdzie jest, co się z nim dzieje, na jaką stąpić nogę. Tak pokazany koń zdaje się być angielczykiem, arabczykiem, kat wie nie czém! Targ w targ, wyliczają się pieniądze, koń odprowadza się do stajni nabywcy, spoczywa po piekielnéj męce — i cóż? Oto odkrywa się późniéj, iż ten nieukrócony rumak albo kaleka na wszystkie cztery nogi, albo ma podrobione lata, albo zakarmiony wapnem i t. d. Jeśli nabywca postrzeże się wcześnie, więc wyprowadza go da capo na targ i tymże samym sposobem jak go oszukano, stara się oszukać drugiego.

(Dokończenie nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

— A r y s t o k r a c y a b r o d y. Pewna dama pełna talentu, nazwiskiem Casa-Mayor, wydała w Paryżu w téj chwili dzieło oryginalne pod tytułem: patologia małżeństwa. Do tego dało jéj powód zamordowanie księżnéj Praslin i jéj listy wzruszające każdego. Wprawdzie powiada niejedno zdanie kacerskie, ale mimo to zapewne nasze czytelniczki przeczytają z ciekawością ustęp, gdzie mówi o posłuszeństwie, które winna żona swemu mężowi. „Dla czego posłuszeństwo? Żołnierz słucha kaprala, kapral feldwebla, feldwebel oficera i t. d. bo niższy stopień znajduje powód do posłuszeństwa w wyższym stopniu. Wikary słucha proboszcza, proboszcz biskupa i t. d. z podobnego względu. Urzędnik słucha ministra, ponieważ piastuje urząd, wymagający znakomitych zdolności. Robotnik słucha fabrykanta, który go żywi. Uczeń słucha nauczyciela, bo ten więcéj wie od ucznia. Syn słucha ojca, bo mu dał życie i jeszcze więcéj. Ale czemuż żona ma być posłuszną mężowi? Czyli mąż wie więcéj niż żona? Bóg nie utworzył przecie kobiety jako ciało ciemne, które odbiera światło od innéj przyświecającéj gwiazdy. Czyli duch mężczyzny jest inny jak kobiety? Mózg u obojga jest podobny. Czyli mężczyzna wyżéj postąpił w moralności? Tego nikt nie śmie utrzymywać na seryo. Czyli mężczyzna utrzymuje pracą swą kobietę. Rzecz to jest mylna w gronie ludu. Kobieta tu pracuje zarówno z mężczyzną. W gronie stanu średniego, a nie licznego, pracuje w ten lub w ów sposób. Jeżeli w wyższych stanach kobieta nie pracuje rękoma, okupuje prawo to wianem, a nawet często żywi mężczyznę, a jeżeli nie jest gospodynią, odgrywa rolę pani domu w salonach i przyjmuje gości; kiedy w kantorze lub biórze nie pracuje, zjednywa domowi handlowemu przyjaciół przez swe powaby, przez talent swój towarzyski; dla czegoż ma więc być posłuszną mężczyznie? A daléj: — syn staje się ojcem, uczeń nauczycielem, urzędnik ministrem, wikary biskupem, żołnierz marszałkiem, przynajmniéj nim być może, jedna tylko kobieta wyżéj nie może postąpić, zawsze musi być posłuszną. Każde stanowisko podrzędne jest przechodnie, tylko jéj pozostaje nieporuszone jak murzynow. Murzyn swego koloru zmienić nie może, kobieta zaś płci swojéj. Dwie za dni naszych są tylko silne ustalone arystokracye: a r y s t o k r a c y a s k ó r y i a r y s t o k r a c y a b r o d y. A dla czego? Tylko jeden powód to może objaśnić: mężczyzna jest silniejszy i prawa stanowi.

— Dyrektor fabryki porcelany w Sèvres doniósł akademii umiejętności w Paryżu i dowiódł próbami, że umie naśladować wybornie rubiny i topazy tak dalece, że ich od naturalnych trudno rozróżnić.

— Wprowadzają teraz zamiast gęsich i stalowych, złote pióra do pisania, któremi nadzwyczajnie dobrze ma się pisać.

— Sposób wynajdywania w Rossyi złodziei. Pan Haxthausen opowiada, że w Rossyi jeszcze dziś znajdują się czarownice w wysokiém poważaniu. W domu jednego Niemca, którego odwiedzałem, popełniono kradzież. Opowiadano mi, jakim sposobem

starają się wykryć złodzieja i zwykle go wyśledzą. Pani domu posłała po babuszkę, którą uważano za czarownicę. Skoro ta przybyła, zwołano wszystkich służących do pokoju i oświadczano, iż jeżeli pomiędzy nimi znajduje się ten, co ukradł, niech się przyzna, a mniejszą poniesie karę, a jeżeli tego nieuczyni, to go babuszka wykryje. Winowajca zaraz się przyznał. Następujące w przeciwnym razie jest postępowanie: babuszka tyle robi kulek z chleba ile jest ludzi, stawia naczynie z wodą przed siebie, każe ustawić się służbie w półkole około wody i mówi: Iwanie, jeżeliś jest winowajcą, kulka na dno tak upadnie, jak twoja dusza w piekło. Kulki niewinnych mają pływać; żaden pospolity Moskal niedopuści, aby kulkę wrzucono z jego nazwiskiem do wody, a prosty znany powszechnie środek jeszcze ma tam swoją powagę.

— Magistrat Londynu pokazał w tych czasach swój rozum niepospolity. Chodziło o zakupienie domu po Szekspirze, na które miał magistrat wyłożyć pieniądze. Powstał jeden z radzców i rzekł: będziemy przymuszeni zakupić wszystkie domy, w których mieszkali słynni mężowie, skoro kupiemy dom po Szekspirze.

— W poniedziałki i wtorki odbywają się targi w Londynie między Spitafield i Bethnal Green na dzieci od lat 8. do 10., które rodzice na dniowe usługi wydzierzawiają. Podobne targi tylko widzieć można w Afryce, gdzie rodzice własne dzieci sprzedają.

MODY.

Paryż, dnia 26. Października 1847.

Opończe, które damy noszą wracając z balów lub teatru, są z repsu, atłasu lub kaszemiru. Na atłasie i repsie najlepiéj wyglądają czarne lub białe koronki albo też skrepowane lekkie fręzle. Fręzle zaś wyłącznie niemal stanowią wystrojenie opończ z białego, niebieskiego, różowego lub perłowego kaszemiru. Kapturki u ostatnich są kończasto wykrojone, często odznaczają się szerokiemi wyłogami, jakiemi są opatrzone płaszcze na przechadzkę przeznaczone. Rękawy znajdują się w drugim dużym kołnierzu lub kiedy go niema są u nich weneckie rękawy.

Płaszcze aksamitne, czy to są ozdobione koronkami, czy fręzlą lub pasamonami w kształt haftu, mają rękawy po większéj części w drugim wielkim kołnierzu lub też są utworzone z przedłużenia naramiennic. Czarne te płaszcze aksamitne są podszyte czarnym atłasem lub floransem. Widzimy także wiele płaszczy w kolorze ciemno niebieskim, wanilowym lub fijołkowym. Ostatnie podszywają białym atłasem. Na negliże biorą sukna w kolorze muru, wyglądające na nicach niebiesko. Z sukna tego flanelowego robią także kryspiny bez rękawów, strojąc je ukośnemi niebieskiemi bortami. Płaszcze te lubo proste, ale się bardzo podobają.

Malenkie vareuse, kaftaniki marynarskie z aksamitu, atłasu, kitajki lub kaszemiru nieźmiernie się podobają w téj chwili, gdzie jeszcze niezupełnie się upowszechniły ciepłe zimowe ubiory. Służą one za ciepłe i wygodne odzienie w teatrach i na wieczorach, jeżeli są nieco strojnie zrobione.

Staniki u sukien po większéj części robią gładkie i z pół sznepką. Naramiennice zdobią tylko wązkie rękawy, które u dołu się schodzą i powinny przypominać wystrój na powłoce.

Otwarte rękawy uważają więcéj za strój większy i ukazują się na wieczorach, przy obiadach i w teatrach.

Wiotkie damy noszą na gładkich stanikach wyłogi, które koronką z przodu od przepaski się zaczynają, w górę się rozszerzają i kończą się w szwie u rękawa.

Przednia bielizna przedewszystkiem jest poszukiwana. Angielskie hafty stały się modnemi w wystrajaniu powłok.

Nowe kapelusze tak rozmaity mają wystrój, że trudno dać ich opisanie. Widzimy kolorowe blondyny pomięszane z niestrzyżonym aksamitem lub atłasem, pióra i czarne koronki na kapeluszach z pełnego aksamitu lub atłasu. W ogóle sama mięszanina tkanin pokazuje się, niestrzyżony i pełen aksamit zawsze znajduje się w zespoleniu z atłasem. Widzieliśmy piękne kapotki z atłasu, wystrojone aksamitem i koronkami.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz z kwiatami i zasłoną. Mantylla atłasowa. Jedwabna suknia z falbanami w zęby.
2. Kapelusz jedwabny żdobny piórami. Suknia z włoskiéj kitajki orzucona koronkami.
3. Kapelusz atłasowy. Suknia kitajkowa z falbanami. Szarfa aksamitna.

Redaktor *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*